Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Zlp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Koch a i Schreibera.

Środa 4 Kwietnia | Ner 18. | 1838 Roku.

ZDARZENIE W DÉLIŻANSIE.

WYJĄTEK Z DZIEŃNIKA PEWNEGO PODRÓŻNEGO.

Posępnego dnia w miesiącu październiku, powracając z odwiédzin sąsiednich zatrzymałem się przed wieczorem w oberży w starożytném mieście Perth, zkąd zwykł odjéżdżać szybkowóz, do Edinburga, dokąd miałem zamiar udania się. Zająłem się przeglądaniem książki na stoliku leżącéj gdy trąbka pocztarska wezwała mnie do zamówionego w szybkowozie miéjsca. Zniejaką niechęcią wszedłem do powozu gdzie już dwie osoby siedziały, które podług powiérzchownych oznaków zdawały się być; mąż i żona.

Jegomość miał może lat około 50siąt; zajmował on część znaczną powozu, gdyż niepospolita tusza czyniła go bardzo poważnym, z szérokiémi skrzydłami kapelusz nasunięty na oczy, i kolisty z czerwonym kołniérzem płaszcz otulający szyję, ukazywał tylko błyszczące czarne źrenice, które wraz z całą powiérzchownością zdradzały handlarza bydła tamtejszych okolic. Imość zaś — gdyż ustawnie między niémi powtarzane: «mój drogi! moja luba!» domyślać się kazały iż to już było małżeństwo dawniéjszéj daty; co do powiérzchowności, uderzającą sprzécznością się odznaczała; gdyż była nadzwyczaj szczupła, a nos jéj w nader bliskiéj z brodą styczności, świadczył o niezmordowaném używaniu tabaki. — Ponieważ podług wszelkiego podobiéństwa tak zwane miodopłynne piérwsze dni pożycia małżeńskiego, już dawno dla nich upłynęły, niémieli więc sobie wiele — a mnie wcale nic do powiedzenia. — W milczeniu tedy przebywaliśmy góry, i już ostatnie zachodzącego słońca promienie znikły, gdyśmy na wzgórze Kinnoul wjechali. Błyszczące oczy towarzysza pokryła snu

pomroka, a drzémanie sąsiadki w mocne chrapanie się zamiéniło.

Wieczor był zachmurzony, i tylko gdzie niegdzie świétna gwiazda widzieć się dawała. Wzgórza i lasy posępną przybrały barwę, wsparty brodą na lasce przywoływałem w pamięć nastrzępione dzikiemi roślinami Apeniny i Abruzzy, które w moich podróżach zwiédziłem, a odświéżone w wyobraźni nader kunsztownie zrobionym obrazem który niedawno widziałem.

Następujące zdarzenie tak żywo w méj duszy utwiło, iż pewny jestem że go wiecznie w pamięci zachowam: Sztafeta opuściła Istryą o godzinie 3ciéj z południa, a my spodziéwaliśmy się przed nocą stanąć w Rocca-Priorri, gdyż dziénne długie, w tym kraju o téj porze światło, księżycowém w późną noc przedłużone bywa. — Ostatnie trzy dni połączyły mnie z dwiema obcémi jedynie w zamiarze zwiédzenia jednegoż miéjsca. — Zdawało mi się, iż go jeszcze na przeciw siebie siedzącego widzę, żwawy pielgrzym, którego pełen dowcipu opowiadania sposób, przywodząc w pamięć najciekawsze zdarzenia zdawał się chcieć niejako powetować jednostajną posępność swojego powołania. Około mnie siedziała kształtnéj powiérzchowności dziewica, gęsta zasłona zazdrośnie ślady piękności ukrywała, która, ani spuszczonémi w dół oczyma i smętno melancholicznym milczeniem przyémioną być niémogła. Kosztownym podbity płaszcz futrem okrywał jéj ramiona.

W małéj przy drodze gospodzie zmiéniliśmy konie niewysiadając z pojazdu. Droga stawała się coraz trudniéjszą, a tém samém mniéj śpieszną do przebycia. Tém sposobem mogliśmy z większą łatwością napawać wźrok czarującym widokiem.

Gdy wieczorna pomroka coraz bardziéj się rozszérzała, mój towarzysz zaczął się z widoczną niespokojnością w około oglądać, a wpatrując się ostro we mnie, zawołał: «Boję się, aby nas noc w tych górach niezaskoczyła, jeszcze mamy siedm mil do miéjsca przeznaczenia, wąwozy otaczające nas przed niedawnym czasem świadkami były okropnych morderstw. Dotąd powinniśmy już byli do Rocca-Priorri dojechać — wątpię atoli, iżbyśmy kiedy przybyli.»

«Na miłość Boga! niemówcież tego!» z przerażeniem powstawszy krzyknęła moja piękna sąsiadka; «nielepiéjżby było powrócić? żywa bowiém nieżyczyłabym sobie dostać się w moc tych rozbójników.»

«Uspokój się Imildo,» wyrzekł zaspokojającym głosem pustelnik. «Niebezpieczeństwo téj drogi bez wątpienia jest przesadzone, lubo powołanie moje zabrania mi używania wszelkiéj broni, mniemam iż nasz towarzysz niejest bez takowéj.»

«Rzeczywiście,» odrzekłem, spoglądając na boczne kieszenie, gdziem zwykł pistolety chować, «niejestem może tak jakby należało przygotowany; niespodziéwając się niebezpieczeństwa.» Nadaremnie szukałem w kieszeniach i całym powozie moich pistoletów, nieznalazłszy takowych zawołałem z zadziwieniem. «Niepojmuję wcale gdzie się moje pistolety podziały, pewny bowiém jestem iż je tu włożyłem.»

«W saméj rzeczy,» odrzekł pustelnik, «i ja niepojmuję gdzieby się podzieć miały; jest jednak dowiedziono, iż to co zamiérzamy uczynić, w wspomnieniu zdaje nam się być wypełnioném, a to z taką dokładnością iż zamiaru od uczynku rozróżnić niepodobna. — Niebespieczeństwo téj drogi było mi niezawodnie przesadnie wystawioném; trudno bowiém przypuścić iżby w naturze ludzkiéj mogło być tyle okrucieństwa aby bezbronnéj dziewicy i pobożnemu słudze kościoła nieprzebaczono. Panu więc jak mniemam, towarzystwo nasze za dostateczną obronę posłużyć powinno.»

«Dałby Bóg, czcigodny ojcze, iżby serce ludzkie na wzór wyobrażenia twego było!—W téj lasce mam ukrytą szpadę która w ostatniéj potrzebie może nas bronić.» To wymówiwszy wysunąłem takową, na ten widok pustelnik niémógł szyderskiego uśmiéchu powściągnąć co mnie bardzo przeraziło. «Ah!» zawołał tenże, «jakżebyto niedołężna obrona była gdybyśmy jéj istotnie potrzebować mieli.»

Gdy to mówił, zasłonięta dziewica padła na drugą stronę pojazdu tak, iż ją bliską zemdlenia sądziłem. Pod ten czas wjechaliśmy na szczyt wzniosłéj góry, z któréj bez przeszkody całą okolicę widać było. Natura panowała tu w dziko-surowéj wspaniałości. Nigdzie niebyło najmniéjszego śladu ludzkiéj o-

becności. Niebotyczne drzewa wznosiły się tu i owdzie, niekiedy dzika koza przebiégała nagie skały. Nieznaczną krętą drogą zwróciliśmy się w lewo, gdzie nowy krajobraz ukazując się oku srogiéj powiérzchowności ludźmi był ożywiony. Mimo-wolnie ująwszy mój dalowid rozpoznałem iż byli szczególnie poubiérani; a za pasem każdego błyszczały zabójcze narzędzia. Wielu znich spoczywało na darninie co nas niejako upewniało iż nas jeszcze niespostrzegli, inni okrążali ogień w załamku skały rozniécony.

«Święty Januaryuszu!» zawołał pielgrzym przekonawszy się o moich spostrzeżeniach! «Niéma w całém chrześcijaństwie odważniéjszych jak ci ludzie, niepozostaje nam jak zdać się na ich łaskę.»

Nagły pomysł obudził się w méj wyobraźni, sądząc że nas jeszcze rozbójnicy niespostrzegli zawołałem na postyliona iżby się zatrzymał; gdy się dla łatwiéjszego zrozumienia mnie podniosłem wstrzymał mnie pielgrzym zatykając usta ręką aby przeszkodzić wydobyciu się głosu; «Jedź daléj!» mocnym zawołał głosem, niezdéjmując ręki z ust moich, pchnął mnie silnie w kąt powozu, gdzie natychmiast uczułem przy uchu wymierzony na mnie własny mój pistolet. »Milcz szatanie! « rzekł grzmiącym głosem, «jeżeli niechcesz paść trupem!»

«Zatkajcie mu sta!» woła donośnym głosem piękna Imilda, i pochwyciła mnie z większą nierównie jak kobiécą czułością, uczucie bólu zwróciło mnie w jéj stronę, i z jakiémż podziwieniem ujrzałem orli nos i strzępiate wąsy, wydobywające się z pod zlatującéj wraz z kapeluszem i zasłoną maski. Podczas gdy tenże szukał po za suknią skrytego pistoletu, z rozpaczą odepchnąłem rękę pielgrzyma. Pistolet wystrzelił: niewiém czyli go ugodził lub nie, lecz przeraźliwy krzyk w powozie się rozlégający, uwolnił mnie z tego okropnego zdarzenia.

«Trzymajcie go, — trzymajcie,» woła handlarz bydła — «on zmysły stracił — w wściekłość wpada!»

»Potłukł okna w powozie,« wołała jego żona.

»W głowę mnie uderzył!« dodał małżonek. «Czyż nas nikt niewyratuje? Morderstwo! morderstwo, zdrada! zbrodnia!» kolejno powtarzali.

Gdy konduktor skorowozu otworzył drzwiczki dla przekonania się co mogło być powodem tego zamięszania, jeszczem się niezupełnie przebudził, lecz po chwili odetchnąłem i wytłómaczyłem iż to było skutkiem niedawno widzianego nadzwyczaj trafnie zrobionego obrazu, który moją wyobraźnią tak dalece zajmował, iż przerażającego snu był przedmiotem. Nareszcie udało mi się wszystkich przekonać, iż wcale niebyłem niebezpiecznym towarzyszem podróży; a od téj nocy wiele jeszcze razy byłem dręczony we śnie powtarzaniem tego przypadku.

WSPOMNIENIA
Z WĘDRÓWKI PRZEZ
GÓRY OLBRZYMIE
(*Riesengebirge*)
W ROKU 1837.

FÜRSTENSTEIN.

Około czwartéj z południa wyjechaliśmy z Landschuta. Z ciężkiém sercem opuściliśmy dom, tak przyjacielski, tak gościnny F. Kto wié czy kiedy w wędrówce życia zbliżymy się jeszcze do siebie, czyli tak błogich, tak wesołych dożyjemy chwil, jak były te, któreśmy z sąbą w kąpielach w Gräffenbergu i tu w Landschucie spędzili! W życiu chwila chwilkę goni, wesołe i tęskne wiążą się godziny; szczęśliwy, kto w swéj pielgrzymce znajdzie bratnie dusze, które w zimnym stepie świata jeszcze wspomnieniem, jak błogie przyświécają mu gwiazdy! Z pięknego, drzewami owocowémi obsadzonego gościńca, zjechaliśmy w bok ku Fürstenstein. A jak trudno, jak niepodobna skréślić słowami te uczucia niezrozumiałéj, tajemniczéj, pomiwolnéj radości i tęsknoty, które w téjże saméj chwilce serce nasze rozdwajają! Są takie, chociaż bardzo rzadkie chwile w życiu człowieka, w których radość wydobywa się z samego uczucia istnienia, od żadnych zewnętrznych wpływów niezawisła; wtenczas każda myśl smutku, udręczenia, niepokoju, bojaźni, stroni od nas; niémasz przeszłości, któraby nas wspomnieniem nękała; niémasz przyszłości, któraby nas niepokoiła; wszystkie zmysły, potęgą duszy ujarzmione, dla niéj dzielność swoję rozwijają; oko zachwycone błądzi po błękicie nieba, i po całéj naturze, która, jakby misterną

ręką założony ogród, coraz nowe przedstawia obrazy. Ostatni promiéń zachodzącego słońca, przebijał się krwawo przez ciemne chmury, spoczywające na grzbiecie gór olbrzymich; u stóp ich zamki w słabém oświéceniu, odłamom skał podobne, i wioski i miasteczka, po równinie porozrzucane; ulice, ogrody, cieniste gaje, szémrzącémi potokami przerznięte; cała natura przedstawiała nam się w pięknéj mozaice, pełnéj powabu i życia. Wieczór był cichy, tylko srébrne brzmienie dzwonów poblizkich kościołów poruszało powietrze; gdzie niegdzie wieśniak wracający do chaty, klęcząc przed kamiénnym krzyżem lub obrazem Bogarodzicy, na konarze starego drzewa przybitym, stłumionym głosem *Ave Maria* odmawiał. Wjechaliśmy w gęstwinę lasu, a stare, rozłożyste dęby i olbrzymie jodły, zasłoniły nam widok w oddal; lecz wkrótce ujrzeliśmy szczyty zamku rycérskiego Vorstenburg, na wysokiéj skale, groźno spoglądającego w dolinę. Przed oberżą w włoskim stylu z piękną kolumnadą wystawioną, stanęliśmy. W pobliskości nowego zamiészkałego zamku, usiedliśmy na ławeczce, pod starémi, rozłożystémi lipami, które obszérny plac, drogą do zamku wiodącą przecięty, przed oberżą ociéniają. O, jak ta czarująca okolica, słabym księżyca promiéniem oświécona, do duszy mojéj przemawiała! Spaniały ten zamek, w pośrodku przepysznych zakładów, do których założenia natura i sztuka równie się wysiliły; w oddaleniu pasmo gór olbrzymich, między niémi śniéżna Kopa, jako obelisk natury się wznosząca, a o kilkaset kroków zamek Vorstenburg, 1288 stóp nad powiérzchnią morza położony, na prostopadłéj skale, z rozwalonémi, wyłamanémi murami, wieżami, łukami! Turkot pojazdów przerwał uroczystą ciszę, podróżni mężczyzni i kobiéty, wysiadłszy z powozów, usiedli pod lipami i wesoła wszczęła się rozmowa: o przyjemnościach podróży, o pięknościach natury i t. p. Lecz wieczór był chłodny, wiatr zimny szumiał po drzewach, a czarne chmury, jakby w biegu wstrzymane, wisiały groźno nad murami Vorstenburgu, który wkrótce w ciemną noc pogrążony, znikł oczom naszym! Chwilowo tylko ogniem błyskawicy oświetlony, która ciemne rodziélała chmury,

jakby groźny sen przeszłości, oczom się objawiał i duszę przerażał! Chcieliśmy już wrócić do naszych pokojów, gdy z po za lip dał się słyszéć dźwięk arfy, a stary, wędrujący muzyk, drżącym głosem zaczął opiéwać przygody sławnego rycérza Schellendorfa, jego śmierć i zburzenie zamku Vorstenburg, za czasów Jerzego Podiebrada. Śpiéw jego był smutny, jak i cała treść piosenki, a gdy opiéwał śmierć Schellendorfa, który z wiérzchołka wieży, walącéj się w pośród krwawych płomiéni, klątwę na oblęgających rzucajac nieprzyjacioł, własnym przebił się mieczem; grzmot przerwał śpiéw starca, a zamek w piorunowym mignął się nam ogniu. Wicher, grzmoty i nawalny dészcz przymusiły nas czém prędzéj schronić się do oberży. Chociaż znużeni byliśmy podróżą, grzmoty jednak niedawały nam nadziei odpoczynku. W pięknéj, obszérnéj bilarowéj sali, słabém światłem lampy oświéconéj, zeszliśmy się wszyscy. Głębokie panowało milczenie, a zégar zamkowy, pośród huku grzmotów, wybił jedénastą godzinę. Piękna, blada dziewczyna, usiadłszy do fortepianu, srébrnym głosem w którym łza drżała, zaczęła śpiéwać piosnkę Kaspra Hauser, ulubioną nad brzegami Renu: *Schuldlos und rein tratt ich ins Leben.* Ta postać anielska, ten śpiéw żalu, tęsknoty, który nie z piersi, ale z serca jéj się wydobywał, w słodkie pogrążyły mnie marzenia. Myśl w rodzinne przeniosła mnie strony i wskrzesiła pamięć owych tak błogich chwil, gdzie pośród burz życia, życie serca było tylko łzą i śpiéwem! Grzmot coraz daléj się usuwał i głucho już tylko wtorował ostatnim wrotkom smutnéj piosenki! Lecz wkrótce i grzmot umilkł i śpiéw ucichł, a księżyc, wysunąwszy się z pod ciemnéj chmury, nieśmiało zajrzał do okien i otarł promiéniem miłosnym, łzę z ócz śpiéwaczki! Nazajutrz rano wyjechała do Salzbrunu.

Byłato niedziela; po burzliwéj nocy słońce jasno po spaniałym tocząc się błękicie, błyszczało w kroplach dészczu i rosy, po gałęziach i kwiatach zawieszonych. Dano nam przewodnika ze służby hrabiego Hochberga, teraźniéjszego posiadacza zamku i okolicznych włości. W szwajcarni zatrzymaliśmy się na śniadanie. W schludnéj izdebce, młoda, piękna gospodyni przy-

niosła nam chleba i mléka, i bawiła nas opowiadaniami o teraźniéjszym posiadaczu zamku. Romantyczne miejsca przechadzkowe, tworząc zachwycające partye, ciągną się wzdłuż czystego, krętego potoku, w głębokim rozlęgu, ściśniętym dwoma murami dzikich, różnokształtnych, drzewami po części obrośniętych skał. Wysepka, do któréj eleganckim przybić można bacikiem, pośród małego jeziorka, w którego czystych falach drżą szczyty zamku rycérskiego; piękne i liczne mostki, brzég z brzegiem, skałę ze skałą łączące; pawilony; dziwaczne przejścia przez skał wyłomy; potok raz dziko o skały z hukiem się łamiący, to znów, jakby wąż, srébrną fal połyskujący łuską pomiędzy kwiaty się kręcący; grób olbrzyma (przeszedłszy tak zwaną cieśninę Gibraltaru), zadziwiający olbrzymią wielkością i oryginalnością skał; pustelnia romantycznie w drzewach ukryta; świątynia Karoliny, siedzenie myśliwego; dwa zamki: teraźniéjszość i przeszłość, dumnie na siebie spoglądając, przedstawiające te wszystkie części pojedyńcze, tak rozmaicie rozdzielone, w jednę harmonijną całość spływają. Lecz najciekawszą część tych zakładów stanowi ta, w któréj zamek stary pośrodku starych jodeł i twardych skał dumnie się wznosi. Ganki, warownie, baszty, tajemne schody, więzienia, łuki, sklepienia, wewnętrzne urządzenie pokojów, obicia, gobeliny, sprzęty, obrazy, kredensa, zbroje, wszystko, wewnątrz i zewnątrz zamku, nosi na sobie piętno rycérstwa wieku piętnastego. W kaplicy zamkowéj, nowo wyrestaurowanéj, z oknami gotyckiemi, obraz świętéj Anny, dziwnéj piękności, pędzla sławnego Fischbeina, zachwyca znawców sztuki i pobożnych podróżnych. Naprzeciw zamku jest plac turnieju, z łożami, galeryami, gdzie w r. 1800 odbyli turniej obywatele okoliczni, na cześć króla i zmarłéj królowéj Pruskiéj Ludwiki, w sposób dawnego rycérstwa. O jak odmiénne wrażenie sprawia widok zamku starożytnego, a tego miejsca tak złudnie urządzonego! Tam z każdego kamiénia, z każdéj cegiełki wyłamanéj, omszonéj, prawda silnie do duszy przemawia i w dawne przenosi ją wieki. Duch rycérstwa groźnie nad témi unosi się wieżami, a szczęk zardzewiałéj zbroi, trącony ręką ciekawego karła, szyderczém i smutném przeraża nas echem! Lecz co już żyć przestało, z grobu niepowstanie więcéj, a gdy przeszłość nowém chce się odrodzić życiem, jako postać grobowa stoi na placu wielkiego turnieju świata, ludzie z podziwieniem i przestrachem rzucą na nię okiem i lecą w burzliwą przyszłość!

K. A.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.